

Część pierwsza

Na miodowych wzgórzach.

Historyczna część Bronowic jest polem bitwy piękna z cywilizacją współczesną. Kilka domów w centrum wsi zostało opuszczonych przez człowieka i dlatego przyroda może je zająć, rekompensując sobie w ten sposób utratę wielu naturalnych siedlisk.

Obiektem najintensywniejszych zmagania stała się ostatnio niska, pokryta strzechą chatynka przeniesiona do współczesności wprost z czasów świetności przyrody. Naturze nie są znane jej przyszłe losy. Bez względu jednak na to, czy człowiek zechce ją rozebrać, czy może przeznaczyć na skansen, podejmuje szybką decyzję. Nic to, że teren okazał się wyjątkowo dla niej niekorzystny – ona po prostu musiała człowiekowi coś udowodnić.

Po przeprowadzeniu wstępnego rekonesansu przez jej zawodowych zwiadowców – porosty – dziury w dachu chatki załatała pędzlikiem dachowym. Ciemnozielone darnie tego mchu zdążyły już przejść pełny cykl rozwojowy do sporogonów z puszkami włącznie. Ucięta w połowie metalowa rynna wypełniła się naniesionym przez wiatr piaskiem, w którym zakorzeniła się gwiazdnica i od razu spuściła swe łodygi w kierunku okien, by w imieniu dzikiej przyrody powitać ewentualnych domowników. Także polne maki, uciekając z od dawna już niegościnnych pól znalazły tu ocalenie. Jak tak dalej pójdzie, dach zmieni się w łąkę...

Tylko trznadel żyjący między lasem a domami nie wierzy, by podziało to na ludzką wyobraźnię. Pozbawiony wszelkich złudzeń, postanawia zająć się wyłącznie własnymi sprawami. Siada więc na czubku drzewa i korzystając z pomocy słońca wypatruje miejsca na gniazdo. Gdy już poszukiwania zostaną uwieńczone sukcesem, rozpocznie swą „filozoficzną” pieśń, która jest podwójną informacją:

- „Oto moje terytorium” – dla leśnej zwierzyny,
- „Spotkajmy się w leśnej gospodzie, by omówić strategię budowy gniazda” – dla swej wybranki.

Owa gospoda, zwana przeze mnie „Gospodą pod Samotnym Dębem”, leży w obrębie wielogatunkowego lasu liściasto – modrzewiowego. Stołują się tu nagie ślimaki i białe motyle, rozczarowane smakiem pożywienia na „oswojonych” grządkach rabatowych. Specjalnością gospody są przyrządzane na bagienno-mszysto-tojeściowej bazie kwiaty i owoce poziomki wysokiej. Ponieważ mają one zapach olejku różanego, ślimaki wprost przepadają za nimi i wyjadają do ostatniego kawałka mięszu.

W tym ptasim eldorado rodzina trznadli bywa przy każdej okazji. Przecież miła atmosfera gospody powinna ułatwić rozwiązywanie trudnych spraw. A właśnie budowa gniazda wokół kolczastych jeżyn do takich spraw należy.

Różany zapach dolatujący z wnętrza kuchni zmobilizował trznadle do działania i teraz szukają one budulca w liściasto – modrzewiowym lesie. Ze swoją robotą uporają się bez trudu, albowiem las ten składa się z drzew, które w życiu codziennym dzielą głębokie konflikty i gdyby tylko miały nogi, rozeszłyby się od razu na wszystkie strony świata. Właśnie dlatego las jest rzadki, świetlisty i łatwo dostępny.

Niektóre gatunki (modrzewie i lipy) różni jedynie nastawienie do życia. Lipa dość późno zieleni się, by tym dłużej zrzucać liście jesienią. Modrzew przeciwnie – wychodzi przed szereg, by w pełnym „uigleniu” pokazać się pozostałym, bezlistnym jeszcze drzewom. Pod tą pozorną zarozumiałością kryją się niestety uzasadnione obawy przed mszycami modrzewiowymi, które mogą w krótkim czasie całkowicie wysssać z niego soki.

Olcha, topola i brzoza zaciekle walczą o wpływy na wilgotnej glebie. Pokonana brzoza z reguły chroni się między drzewami o łagodniejszym usposobieniu. Topola zaś zazwyczaj w ogóle nie jest akceptowana przez żadne drzewo, gdyż osiąga najwyższą wysokość, co odczytują one jako brak woli współpracy lub nadmierną pewność siebie. Nie przeszkadza jej to jednak w odniesieniu sukcesu.

Natura wie, że drzewa te łączy pragnienie dostatku wilgoci, a to już wystarczający powód, by rosły obok siebie. Musi tylko wypracować jakiś modus vivendi między nimi. Zaczęła więc rzeźbić coś na pisaku i w ten prosty sposób stworzyła strumień pojednania, który początkowo zadowolili tylko dominujące w całym ekosystemie lipy. Przepływając przez sam środek lasu podzielił się na wiele odnóg, które wyżłobiły w ziemi głębokie koleiny.

Z takim środowiskiem poradzą sobie nie tylko lipy, ale również olchy i topole. Co jednak począć z modrzewiami i brzożami? Jako drzewa najsłabsze, a zarazem jakże ambitne i kreatywne, zasługują przecież na specjalną troskę. To nie ich wina, że przeraża je krajobraz pozbawiony runa wśród drzew, do których nie mają zaufania! I że bez pomocy z zewnątrz obniży się reprezentowany przez nie wysoki poziom leśnej kultury.

Natura funduje im więc wysokie trawy, pod osłoną których oddadzą się spokojnej, twórczej pracy. I każde zwierzę znajdzie tu coś dla siebie. Będzie je teraz bardziej cieszył wspaniały stąd widok na Dolinę Rudawy i na ekstensywnie użytkowane pola uprawne, gdzie mocno już wyniszczone chabry i maki znalazły wreszcie warunki do rozwoju.

Nad polami tymi każdej wiosny unoszą się skowronki. Tylko one potrafią wypatrzyć z góry łąkowy karabin maszynowy – derkacza – , którego stanowisko doskonale maskują zarośla głogów. Derkacz nie lubi się nudzić i często zmienia swój adres, ale gdy widzi wokół siebie długie kolumny marszowe młodych głogów z połyskującymi w słońcu bagnetami kolców ocenia zapewne, że już nie warto latem tułać się po innych łąkach.

Ciekawe, że dopiero szybko rosnąca robinia zapewniła łąkowym ptakom tak potrzebną stabilizację. Choć sprowadzono ją zza oceanu, umiała dla dobra całej przyrody zapomnieć o rodzinnych stronach. Mając za sobą protekcję człowieka, sprowadziła na nagie dotąd wzgórza całą plejadę krzewów – od czarnych porzeczek poprzez czerniec gronkowy aż do malin, jeżyn i dzikich śliw. Z typowo amerykańską wiarą w sukces i pewnością siebie przekonała dzikie wino i jeżyny, by razem z nią przekształciły bezleśny szczyt w małą sawannę. Robinii udało się podporządkować sobie prawie całą „łęgową” czołówkę polskich drzew i krzewów z wyjątkiem najbardziej patriotycznie usposobionych wierzb, które wolą być oplecione przez rodzime gwiazdnice.

Proces przekształceń pejzażu nie jest jednak jeszcze zakończony. Zdarza się, że odbywa się on kosztem stworzonych przez człowieka łąk, które wymknęły się spod jego kontroli i całkowicie zespoliły z przyrodą lasu. Tam gdzie do niedawna przechadzała się dumnie cykoria podróżnik, a liczne białe i żółte kwiaty kibicowały walce krzewów z drzewami, rzą teraz konie z pobliskiej stadniny. Wiele krzewów ponownie znikło z krajobrazu na rzecz równej, angielskiej, „golfowej” trawy.

Na szczęście straty te rekompensuje z nawiązką miejsce, którego oczarowana nim robinia nie miała odwagi skalać - Miodowa Góra. Człowiek sprowadził na nią pszczoły. Postawił ule w środku Bronowickiego Lasu, a reszty dokonały brzozy brodawkowate. Imitując na swych pniach naturalne barcie przypomniały obecnym podopiecznym człowieka beztróskie życie ich przodków w leśnym królestwie.

W maju nad „miodowymi wzgórzami” unosi się pędzona wiatrem rzeka płatków mirabelek, malin i jeżyn. Podczas tego niezapominanego miesiąca padają wszelkie bariery między „ucywilizowanymi” pszczołami a pierwotną przyrodą. Tylko teraz, gdy pszczele uczty są tak wystawne, że aż stają się elementem widnokręgu, miodowe góry przeżywają swój miodowy miesiąc.

Choć przyroda pozwala człowiekowi obejrzeć to zjawisko z bliska, broni przed nim z całych sił dostępu do firletki. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego. Firletka – przyrodnicza poezja tego regionu – czerpie chęć do życia właśnie dzięki doskonale zamaskowanym przez mchy zastoinom wody. Pomaga to jej skutecznie radzić sobie z dominującymi nad łąką czerwonymi kwiatami szczawiu. Zmagania te przypominają partię szachów, gdy gracz mający materialną przewagę musi przegrać, straciwszy kluczowe pola szachownicy. Przyczyną tego oszałamiającego sukcesu jest niezwykła budowa kwiatu firletki. Płatki korony sprawiają wrażenie roztargnionych i roztrzepanych, co zwiększa ich pozorną powierzchnię. Jeśli jeszcze dodamy do tego jaskraworóżowy kolor, staje się zupełnie jasne, że goździk ten inspiruje do walki o swe prawa te rośliny, które czują się pokrzywdzone.

Toteż wszystkie łąki okolic Krakowa z niewielką choćby domieszką firletki urzekają niezwykłym bogactwem gatunków.

Część druga

Na obrzeżach lasu.

Przez obrzeża Bronowickiego Lasu wiodą motylowe ścieżki. Jedną z nich przemierza właśnie mieniak tęczowiec. Tylko ta ścieżka mu odpowiada, inaczej bowiem mieniak przestałby być najlepszą reklamą tych lasów. Całkowicie ignoruje pobliskie, pełne nektaru kwiaty, bo właśnie dolatuje do jednej z wielu, nigdy tu nie wysychających kałuż, w której znajdzie wszystko, czego zapagnie. Powinno to budzić zażalenie jego licznych rusałkowatych kuzynów ciężko pracujących w poszukiwaniu nektaru. Ale...

Mieniak swoje mienienie się kolorami tęczy zawdzięcza łaskowości słońca. W pochmurne dni traci ten w istocie jedyny atut (czego na szczęście nie sprawdziłem, bo w takie dni zwykłem często się przeziębzać). Inne motyle posiadają wprawdzie bardziej matowe, lecz trwałe ubarwienie, dlatego oszczędzona jest im radykalna zmienność nastrojów od euforii do rozpacz. Nie sprzyja to ani utrzymywaniu dobrych

„międzymotyłowych” stosunków ani, co gorsza, podejmowaniu wspólnych akcji na rzecz potrzebujących pomocy. A właśnie teraz takie działanie wydaje się niezbędne. Oto bowiem leśnicy całkowicie wycięli wiele dorodnych osik. Rosły one w symbiozie z dziwacznymi jeżynami gruczołowatymi. Jeżyny te bardzo bały się przyszczarków i galasówek, toteż walczyły z nimi bezpardonowo. W swej walce posłużyły się metodami udoskonalonymi później przez ludzi. Na liściach i pędach wytworzyły coś, co na pierwszy rzut oka przypominało chemiczny oprysk, dlatego nie podejrzewające podstępny pasożyty trzymały się od tych jeżyn z daleka.

Ale i na nie nadszedł koniec, choć do ostatniej chwili kusiły człowieka niezwykłym wyglądem i smakiem swoich owoców. Teraz resztki osikowych siewek, które gościły na swych listkach rynnice topolowe, pozbawione jeżynowej osłony wystawione są na niszczące działanie promieni słonecznych i tylko skrajne wilgotna gleba utrzymuje je jeszcze przy życiu.

W tej sytuacji jeden z bardziej matowych motyli – karłatek leśny – sam spieszy z pomocą leśnej stoncy. Widząc nieszczęsnego owada bezradnie uczeplonego ostatnich osikowych listków lata nisko nad ziemią, wytrzeszczając swe ogromne wylupiające oczy. Ten widok ożywia rynnicę. Znalazła wreszcie wesołego przyjaciela, który pomoże jej przetrwać pierwszy krytyczny okres przymusowej bezdomności.

Odtąd rynnica z ufnością i optymizmem patrzy w przyszłość, tym bardziej że osika odrasta bardzo szybko. Także zdrewniałe krzewy borówki dadzą jej schronienie zarówno przed deszczem jak i upałem. To na nie przerzuciła większość swych nadziei w okresie przejściowym przed powrotem do poprzedniego stanu.

Czy jednak pozostałe drobne zwierzęta mogą z równym spokojem przetrwać gorsze czasy? Przecież wraz z osikami i jeżynami gruczołowatymi zniknęła część jeżyn czarnych wystawionych na bezpośrednie działanie słońca. A tylko słońce wie, jak zmienić krzewy jeżyn z bezproduktywnych wewnętrzleśnych zawałidróg w bogate naturalne plantacje.

Szczególnie dla potomstwa zawijaka żółtawego (pająka) brak takich jeżyn jest klęską. O zachowaniu więzi z rodzicami może ono bowiem marzyć tylko wtedy, gdy ci wybudują mu dom ze zwiniętych w trąbkę jeżynowych liści.

W nie mniejsze tarapaty popada kistnik malinowiec. Dotąd chrząszcz ten żerował na samotnym krzewie malin, który jednak ostatnio mimo zajmowania eksponowanego miejsca owocuje coraz słabiej. Nie ma jednak tego złego... By krzew odzyskał chęć do pracy, należało przeprowadzić operację chirurgiczną na otwartej przyrodzie – wyciąć wszystkie górujące nad krzewem drzewka i część jego pędów płonnych. Potem pozostanie już tylko zdać się na łaskę i niełaskę czasu. Na ten trudny okres kistnik musi zejść do malinowego podziemia ukrytego w gęstych trawach lub poszukać sobie innego krzewu.

Jeśli kistnik wybierze tę drugą możliwość, będzie świadkiem niecodziennego wydarzenia – uroczystego odsłonięcia przez las czeremchowej polany (przy wydatnej pomocy leśników). Wydarzenie jest tym większe, że niewielu podejrzewało jej istnienie. A przecież od dawna wiadomo było, że zarastające ją

niegdyś osiki zachowaniem swych liści na wietrze zdradzały obawy o możliwość wydania się ich tajemnic. Czy to miały być piękne i rzadkie kwiaty, czy może...

Patrzę uważnie i nie wierzę własnym oczom. Ten krajobraz tworzy własną, przyrodniczą mitologię! Pocięty wąwozami przypomina zastygłe w ruchu morskie fale. Między falami ukrywają się ogrody pełne osobliwych roślin, które budują ze swych rozległych kęp domy dla prawdziwych władców tej krainy – pajaków – małych przyrodniczych Minotaurów. Gdyby tego nie zrobiły, pająki nie mogłyby rozwinąć swej przysłowiowej pomysłowości i podczas mglistych dni nie powstałaby skomplikowana sieć ich labiryntów. Nie wszystkie zresztą są dla owadów śmiertelnymi pułapkami. Mgła bowiem, przegrywając ze słońcem w otwartej walce, ucieka się do partyzanckiej taktyki i chowa w niedostępnych dla słońca niskich roślinach. Wtedy, właśnie dlatego że wygląda identycznie jak pajęcza sieć, staje się nicią Ariadny. To właśnie czas, gdy owady wlatujące do wnętrza czeremchowej polany rozpoczynają grę o życie. W tych śmiertelnych zmaganiach liczy się zapewne ten sam zmysł, który pozwala ekspertowi odróżnić oryginalne dzieło sztuki od falsyfikatu. A gra jest warta świeczki! Owad, który przyjedzie cało labirynt, ma do dyspozycji wszystkie rozkosze podniebienia.

Ponieważ wygląda to dziwnie znajomo, czeremchowa polana zaczęła fascynować człowieka, który jednak przed podjęciem wyprawy do wnętrza baśni powinien naładować się pozytywną energią w pobliskim brzozowym lesie. Będzie to jego talizman na pochmurne i deszczowe dni, gdy w czeremchowym raju robi się naprawdę nieprzyjemnie (groźba przeziębienia nie robi na mnie wrażenia, gdy w grę wchodzi grzyby). Powietrze przesycą tam zapach rozkładających się dębowych gałązek oraz gnijących osikowych pniaków. Pasożyty atakują młode liście dębów. Nawet pajęczyny rwą się pod naciskiem grubych kropel, przybierając kształty z sennych widzeń. Nieliczne okazałe kwiaty zwijają swe płatki korony pod parasole kielichów.

Jednakże słońce często odwiedza to miejsce. Istnienie czeremchowej polany jest przecież doskonałą okazją do rozszerzenia jego wpływów w terenie. Przebiwszy się przez chmury skrzy się z zadowolenia. Iskierki te zamieniają się w diamenty, które opadając na polanę wywabiają ukryte przez deszcz życie. Teraz pająki wracają do swych zajęć. Lejkowiec labiryntowy szybko odtwarza na wrotyczu zniszczone sieci. Darownik przedziwny udaje się ponownie na łowy. A jest w czym wybierać po deszczu, toteż wkrótce wraca do swej partnerki z owadem szczelnie owiniętym wydzieliną własnych kądziołków przednych. Nie próżnują również motyle osikowe, zwłaszcza te, które bezpośrednio konkurują z rynnicą topolową, a nie, tak jak karłatek, chcące ją pocieszyć. Za to dla samej czeremchy pogoda nie stanowi problemu. Musi przecież stale czuwać, by człowiek nie naruszył w żaden sposób całego ekosystemu, ale pragnie też, by człowiek zdobył o nim jak największą wiedzę. Dokonuje tego wieloma sposobami. Przede wszystkim jednak dba o swój wygląd, korzystając z pomocy szczególnego, powulkanicznego ukształtowania terenu. Taki teren zmusza młodziutkie krzewy do utworzenia czegoś na kształt plantacji, lecz z drugiej strony sprawia, że czeremcha posiada doskonale wypielęgnowane liście o opływowym kształcie, które na dodatek nie mają wielkiej ochoty do żółknięcia i opadania jesienią.

W otoczeniu rojącym się od wszelkich pasożytów znajduje z każdym z nich wspólny język, tak że te zawsze ją omijają. Umie zaopiekować się odrzuconymi, którzy przegrali walkę o byt, lecz są wzruszająco piękni. Dlatego przyjmuje pod swe opiekuńcze liście przetacznika leśnego ze względu na jego modre

kwiaty i oryginalny kolumnowy pokrój.

Cały ekosystem czeremchowego raję jest bardzo poruszony losem, który pobliskiemu środowisku półleśnemu zgotował człowiek. Toteż w pięknej scenerii wczesnego słonecznego przedpołudnia w miejscu tym ożywają bolesne wspomnienia czasów, gdy jeżyny gruczołowate, osiki oraz brzozy zasiadały między drużynami czerwonych, niebieskich i białych kwiatów.

Inna rzecz, że przestrzeń umie przecież coś więcej niż tylko rozdawać puchary zwycięzcom. Nie mając pojęcia o ludzkiej nauce uzupełnia natychmiast brak drzew geometrycznym rzutem. Dzięki tej mistyfikacji z wnętrza czeremchowego raję nadal widać morze lasów.

We wnętrzu lasu.

Cztery strumienie wiążą nierozzerwalnymi więzami czeremchową polanę z mrokiem zwartego drzewostanu. Każdy posiada urwiste i ostro odcinające się od otoczenia brzeg zarośnięte niskimi roślinami.

Płynne przejście miodowych gór w czeremchową polanę, a potem w gęsty brzożowy las to zasługa strumienia najmniej dostępnego, porośniętego gdzieniegdzie przetacznikiem leśnym. Widzą go kwiaty pobliskiej łąki, ten zaś, korzystając z tego, zaprasza je w głąb lasu. Drugi, niżej położony strumień, który zaczyna zarastać gęstą trawą, niecierpliwie oczekuje ratunku z tej strony. I gdy już wszystko wydaje się zmierzać w dobrym kierunku, barwne kwiaty uznają, że nie mogą zamieszkać na jego brzegach. Nic nie pomaga identyczny skład chemiczny gleby, łąki i brzegów strumienia. Dopiero słońce pomaga wypracować kompromis. To dzięki niemu brzegi nie porosły całkowicie trawą, lecz pokrzywami i jasnotami, które, według tutejszej legendy, przywędrowały z miodowych gór, zrzuciły kwiaty i przekształciły się w karbieńce – wodne pokrzywy.

Strumienie nie są jednak wszechmocne i nie mogą rozwiązać wszystkich problemów, robią jednak maksimum tego, na co je stać. Gdy w żaden sposób nie są w stanie przebić się przez zręby tektoniczne, potrafią rozdzielić się na mniejsze odnogi albo stworzyć małe, śródleśne oczka wodne. Tam właśnie zagęszczenie roślin jest największe. Niektóre z tychże roślin patrzą z góry na barwne kwiaty łąk nie tylko dlatego, że są wielokrotnie wyższe (nerecznice i skrzypy bagienne), ale także dlatego, że oryginalność ich liści przewyższa piękno kwiatów.

Wszelkie różnice pomiędzy poszczególnymi strumieniami próbują zniwelować olchy. Zaraz potem jednak wchodzą pomiędzy nie brzozy palające żądzą rewanżu za utraconą przestrzeń. Ale z braku odpowiedniej gleby zaczynają chorować i butwieć. Proces ten przebiega tak szybko, że spróchniałe wewnątrz drzewa nie wytrzymują silniejszych podmuchów wiatru i z głośnym trzaskiem zwalają się na ziemię. W takich warunkach spędzają syte i beztroskie dzieciństwo komary, ochotki oraz mustyki. Już jako imago, mając wybitne zdolności muzyczne, próbują szczęścia w sztuce. Komary „piłują” i choć nie bardzo przypomina to szemranie strumyka, jednak jest peanem na cześć beztroskiego dzieciństwa spędzonego w Krainie Czterech Strumieni. Mustyki mają zaś balet we krwi, dlatego choć przeszkadzają im garby na odwłokach, to w swoim mistrzowskim tańcu ich przezroczyście skrzydła są nie do odróżnienia od prze-

glądających się w lustrze wody słonecznych promieni. Wszystkie trzy wymienione wyżej gatunki raz wzbijają się poziomo w górę, to znów opadają w dół. Nie ma w tym, niestety, nic pogodnego! Jakże trudno rozstać się w wodną ojczyznę i odlecieć w niebezpieczny świat, gdzie na każdym kroku czyhają drapieżniki.

Najboleśniej rozstanie z wodnym środowiskiem przeżywa ochotnika. Podczas gdy komary łatwo dostosowują się do nowej sytuacji i szybko opanowują cały las, ona wciąż nie może pogodzić się z dokonanymi zmianami. Z tego buntu rodzi się najwspanialsza sztuka. Choć chmary komarów wciąż tłoczą się bezładnie wokół wilgotnej gleby, oblepiając nawet pnie drzew, ona cierpliwie wyczekuje chwili, gdy swą roztańczoną poezją sprawi, że cały las wstrzyma oddech.

I oto słońce rozpoczyna zwycięską bitwę z mgłą, a jego promienie zaczynają penetrację Krainy Czterech Strumieni.

„Teraz albo nigdy!” – pomyślała. Poprawiwszy ułożenie swych pióropuszy na puszcze głowowej ruchem wirowym wznieciła w powietrzu maleńkie tornado, które wsysa w głąb cząsteczki światła. Jej ciało wchodzi we właściwym momencie w reakcję ze światłem słonecznym i nabiera zielononiebieskiego połysku. Kształty owada, porwane powietrznym wirem, zaczynają się zamazywać. Nie na długo – ochotka raz jeszcze przywołuje wspomnienia swych niedawnych przygód w mulistej wodzie, zatrzymując się w locie i opadając wolniutko w dół. Teraz trudno odróżnić ją od brązowych nasion brzoź zaplatających się czasem w pajęczych sieciach. Ochotce zależy na tym, aby jej taniec czymś się różnił od chaotycznego lotu komarów, dlatego często tańczy samotnie. Wówczas niechętnie zaplata się w cieniutką nici pługów jesiennych. Srebrne skrzydła naszej bohaterki zespala się wtedy ze srebrem pajęczej nici dzięki czemu, przy dodatkowym współudziale słońca powstaje obraz, o namalowaniu którego człowiek bezskutecznie marzy od początku istnienia sztuki. Taka wystawa malarstwa rozwieszona na pajęczej sieci jest bardzo niebezpieczna dla jej „organizatora”. Podobne przypadki są zresztą bardzo częste, wszystko trwa nieraz parę chwil, kończy się fatalnie i szybko zostaje zapomniane. Dlatego w przyrodzie ponadczasowe dzieła tworzy się inaczej niż w ludzkim świecie. Na przykład muchówki żerujące codziennie w lepiężnikach pozostają anonimowe, ale ich dzieła – skomplikowane „esy – floresy” zbiegające się przy ogonkach baldachimów tych liści pozostaną na zawsze własnością całej przyrody terenów wilgotnych.

Najbardziej ponadczasowym twórcą jest krajobraz. Wspaniała Kraina Czterech Strumieni przeplata się cudownie z terenami wybitnie suchymi, a komary i ochotki są jedynymi łącznikami pomiędzy tymi światami (bo umieją latać). Cała reszta przyrody zachowuje się tak, jak gdyby strumienie stanowiły granice państwowe. Nawet żaby i ropuchy czekają posłuszenie w kolejce na przekroczenie przejść granicznych. Inni trzymają się ściśle określonych rewirów. Lite drzewostany brzożowe z domieszką świerka rosną na wypalonych słońcem gliniastych glebach. Strumienie nawet nie próbują przebić się przez tę bezranną pustkę, mimo iż ruchy tektoniczne wyrzeźbiły w niej istic księżycowe krater. Zamiast wodą wypełniają się one opadłym igliwem, a czasem bieliską siwą – mchem znanym z suchych borów sosnowych. Tam zaś, gdzie opadłe liście brzoż mieszają się z wypaloną gliną, las ma kolor pustyni.

W takim środowisku próchniczak czarniawy (chrząszcz) czuje się doskonale. Nocą ma tu swój warsztat pracy, w dzień zaś oddaje się błogiej sjeście. Z obnażonym torsem kładzie się na żółtej ziemi i w tej po-

zycji czeka aż zapadnie noc. Zwierząt bardziej systematycznych – na przykład robotnic mrówek rudnic – nie obchodzi jakiś tam kusak. Zresztą i tak nie mają szans dostrzec go nocą, gdy staje się niebezpieczny. Cały czas wypełnia im teraz troska o świeżo wyklute potomstwo, dla którego muszą zbudować dom.

Robotnice w swym zapale zachowują na szczęście odrobinę rozsądku. Poszukiwanie świerkowego igliwia zaczynają od budowy autostrad, na których potem nigdy się nie zagubią. Problem w tym, że takie pracoholiczki nigdy nie zdobędą się na przyznanie, że są zmęczone.

Ale od czego niezawodna królowa? Ona wie, że w takich sytuacjach trzeba uciec się do podstępów. Dlatego wzywa do siebie chwilowo bezrobotne mrówki mianując je nadzorczyniami. Te nie opuszczają już swych podopiecznych. Od razu wychwycą moment ich słabości. Wtedy popchną je leciutko od tyłu lub stając naprzeciw pomogą zanieść ciężar do mrowiska. I robią to tak sprytnie, że słabsze mrówki nawet nie wiedzą o swojej słabości...

Królowa sama nie może zaopiekować się swoim potomstwem, bo jest go zbyt dużo. Dlatego obowiązkami wychowawczymi obciążone są robotnice. Królowa nie może zostawić opiekunek własnemu losowi. Niebezpieczeństwo czyha przecież nawet ze strony innych gatunków mrówek, które potrafią niepostrzeżenie wyjść spod grubej warstwy nadrzewnych mchów. Poprzez troskę o los robotnic królowa wyraża więc pośrednio swoją miłość do potomstwa.

Las Bronowicki może poszczycić się przed światem zewnętrznym czterema równoległymi i równo płynącymi strumieniami, czeremchowym rajem, zmiennymi kolorami gleby. Tyle ciekawych rzeczy na tak małej powierzchni... Co z tego – niewielu potrafi to dostrzec. Las nie umie się z tym pogodzić. By wreszcie zwrócić na siebie uwagę, odsłonił skałkę jurajską zatopioną w gęstych mchach i porostach. Dopiero teraz, gdy ludzkie oczy zwróciły się w kierunku kудłatej skały, przyroda wita się z człowiekiem na dobre. Udzieli mu lekcji, jakiej ten nigdy nie zapomni, obalając wszelkie stereotypy nagromadzone wskutek załamania się jego kontaktów z nią.

Skałkę strzeże głóg, wokół którego lata imik czerwono-nogi. Ta typowo głógowa muchówka, czarując swoimi czerwonymi odnóżami i przezroczystymi skrzydłami, wciąga człowieka w bezładną gmatwaninę cierni głógów i jeżyn. Po takim doświadczeniu nietrudno uwierzyć w marynarskie opowieści o syrenach zwabiających człowieka w głębiny. Jednak gdy z wielkim trudem uda nam się już uwolnić z kolczastej obręczy, cała seria przygód dopiero się zaczyna. Otdąd usiłujemy znaleźć ukojenie w pięknych kwiatach rosnących nieopodal. Nasze zdumienie wzrasta jednak jeszcze bardziej, gdy zauważamy jaskry, które zamiast próbować olśnić nas złotym kwieciem, biją w oczy swoimi czarnymi plamami znajdującymi się na dnie kwiatowym. Obiecujący na pierwszy rzut oka szczywół plamisty w miarę podnoszenia się temperatury powietrza coraz bardziej drażni zmysł węchu nieprzyjemnym odorem, a fiołki nie stawiają żadnej przeciwwagi, bo są błotne i bez zapachu. Prawdziwe zaś klejnoty, po które tu przybyliśmy, zakrywa swoimi parzącymi i słoniowatymi liśćmi barszcz zwyczajny.

Ale to jeszcze nie koniec niespodzianek. Teraz bowiem nasze uszy zaczyna rozsadzać muzyka wilgotnej ciszy. Orszak tysięcy komarów i komarniczek wydaje szklany dźwięk, gdy gra na skrzypcach swych

skrzydeł. Potem wodosówki odprowadzają milczące gody swym zwinnym lotem. W takiej sytuacji nawet zwykły kos szukający larw w zbutwiałych liściach robi sporo hałasu.

A gdy już człowiek pozna do końca groźny majestat przyrody, niespodziewanie dostaje od niej chwilę radości i odprężenia. Jego nastrój poprawiają nie kwiaty, lecz niepozorne mchy. Zwłaszcza mokradłosz kończysty urzeka elegancją. Pnie się ponad inne mchy ku niebu po drabinie swoich cieniutkich łodyżek. Nie znajdując żadnego punktu zaczepienia choćby w postaci krzewinek sterczy ponad resztę runa, jakby wyciągał ręce z prośbą o pomoc.

Każdy kto przeżyje w Bronowickim Lesie podobną przygodę, chciałby ją przeżyć raz jeszcze.

Część trzecia

Nad cichymi wodami.

Okrężną drogą poprzez Bronowice, Miodowe Wzgórza i Las Bronowicki turysta dociera wreszcie do głównej atrakcji całego rejonu – Jeziora Niespodzianek. Maleńkie to jeziorko ma wspaniałą oprawę w postaci brzozy omszonej. Kilka pokoleń tych oryginalnych drzew – od siewek po stuletnie giganty – rozciągają w jesieni tajemniczą, złotą poświatę ponad wodną tonią. Brzozy omszone wyróżniają się spośród pozostałych drzew umiejętnością zharmonizowania swych kolorów z porami dnia, roku i położeniem słońca na nieboskłonie. Bieli ich kory nie zakłócają żadne brodawki czy narośla, przez co działanie promieni słonecznych ulega spotęgowaniu. Niewykluczone, że słońce odwdzięcza się za to w jesieni, obdarzając liście brzozy tą niespotykaną, złotożółtą aureolą.

Maleńkie jeziorko nadrabia braki swej powierzchni poprzez upodobnienie się do okazałej rezydencji. Na samym jego środku leży wyspa porośnięta właśnie brzozą omszoną. Wyspę często otacza diamentowa poświata, którą wydobywa słońce z dna jeziora. Ta prywatna kopalnia diamentów działa najprężniej w godzinach południowych niezależnie od pory roku, gdy słońcu nie przeszkadza w pracy konkurencja w postaci deszczu. Wtedy bowiem z dna jeziora wydobywane są inne skarby, a para wodna szczelnie zasnuwa romantyczną wyspę.

Mnie jednak najbardziej zainteresowało otoczenie jeziora, a zwłaszcza rów niezapominajek. Jest on prawdopodobnie przedłużeniem jednego ze śródleśnych strumieni. Tu, po przeżyciu przygód w leśnych ostępach czeka człowieka żywa lekcja historii. Na czystą, mulistą wodą rosną rośliny przeniesione żywcem z końca epoki lodowcowej – przyrodniczego średniowiecza. Niektóre wciąż chyba nie mogą o tym zapomnieć, bo zakładają gęste futro na swe zielone części (turzyca owłosiona), na kwiaty (turzyca sztywna), albo też zbijają się w gęste kępy jakby w obawie przed nawrotem wielkiego chłodu (turzyca tunikowa). Nawet niezapominajka błotna nie jest zupełnie wolna od tych obaw.

O reprezentacyjnym charakterze tego miejsca świadczą natomiast dwa dzikie gatunki róż rozpięte na

przyjeziornym płocie na wzór wiszących ogrodów Semiramidy – róża dzika i róża rdzawa. To już jest wyraźny ukłon w stronę człowieka, żeby pamiętał, co było źródłem jego trwającej do dziś pasji hodowli róż.

Wokół rowu niezapominajek rosną trzciny, w których ukrywa się osobliwy pajak zwany kwadratnikiem trzcinowym. Tak bardzo uzależnił się od trzcin, że musi dostosować budowę własnego ciała do szerokości ich źdźbła. Jest łowcą motyli trzcinowych i zarazem ofiarą żab moczarowych.

Żaby moczarowe to chyba jedyne w Polsce nielatające zwierzęta, których samce w okresie godowym dla pozyskania partnerki drastycznie zmieniają ubarwienie (z brunatnego na niebieskie). W razie niebezpieczeństwa z głośnym łoskotem, ale zarazem komputerową precyzją wskakują równocześnie do wody z zarosniętego trawami i turzycami brzegu. Potem długo zastygają w bezruchu na środku rowu niezapominajek, nawet nie próbując się kryć. Gdyby nie hermetycznie zamknięte środowisko ich życia, takie zachowanie rokowałoby żabom moczarowym o wiele krótszy żywot.

Nie ma takiej możliwości, aby turystę choćby przez moment znużyła opowieść przyrody o swej historii i jej duma z obecnych osiągnięć, bowiem wszystko to jest gęsto przeplatane dowcipami. Jakże tu się nie roześmiać na widok wierzby uszatej, tego bagiennego długouchego karła z czerwonymi gałązkami, którego wygląd odstrasza każde zwierzę? Albo z wilgi, tego Tarzana umiarkowanego klimatu, którą można obserwować wyłącznie w momencie przeskakiwania z jednej olchy na drugą? Przecież nawet słowik uważający się za najlepszego śpiewaka terenów podmokłych aż zachrypl ze śmiechu na ten widok!

Mnie jednak najbardziej zainteresowały te zwierzęta, dla których wspaniały krajobraz i aktywna działalność słońca są jedynie punktem wyjścia do nadania całej okolicy piętna prawdziwej unikalności, właściwej jedynie dla bronowickich terenów wilgotnych. Diamentowa poświata jeziornej toni to sygnał dla pienika ślinianki, że czas zapalić świeczki na gałązkach wierzby łożyny. To najdziwniejsze świeczki świata, wykonane ze śliny tego pluskwiaka. W ich wnętrzu kryje się jego potomstwo. Drapieżnik nigdy nie uwierzyłby, że sztuka może służyć takiemu celowi!

Drugie zwierzę to ważka zwana łątką dzieweczką. Przemieszcza się ona powoli wzdłuż rowu niezapominajek w postawie pionowej, składając jaja do wody. Gdy słońce wydobywa swe diamenty z dna jeziora, w tym samym czasie z dna rowu niezapominajek strzelają w górę równe, niebieskie płomyki, co jest widomym znakiem masowych polowań tych ważek na drobną potokową zwierzynę. Tak powstaje harmonijna kompozycja dwóch przeciwstawnych kolorów: niebieskiego i żółtego, które są nieustannie w ruchu i wreszcie, gdzieś między jeziorem a rowem niezapominajek, stapiają się w kolor zielony. Cudowny widok !

Bronowickie tereny podmokłe to ostatnia na terenie Krakowa ostoja pierwotnej przyrody. Tu odbywają się zwierzęce spotkania na szczycie, których rezultatem jest niezapomniana feeria barw. Tu także uczymy się własnej historii, którą przyroda zna, lecz interpretuje po swojemu. Niech więc te podmokłe tereny służą następnym pokoleniom w zrozumieniu świata, w którym przyszło nam żyć.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

trawa1965, dodano 23.09.2016 13:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.